

Archiwum Paźarskie
Franciszka hr. Potockiego.



Abel. 4534 II

WALKA.

WIERSZ

napisany przez

Stanisławitę.


INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77

Tel. 66



*J. O. Krzyżowi Sabłomskiej
w dowód najgłębszego uszanowania
ku cioci barczystego prawnika Jęf
ofiaruje Autor.*

WARSZAWA.

W DRUKARNI ALEXANDRA GINSA.

1869.

13055




Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Февраля 1869 г.

1173



DO CZYTELNIKA.

Serca bratnie to skarbona —
To jest pszenne żyzne pole!
Tam rzucajmy jak nasiona,
Łzę pociechy, śmiech, swawole,
Aby wzrosły w bujne łany,
By z nich zbierał człek stroskany.
Mały drobiazg masz w ofercie!
Inni większe dali skarby,
Śmielsze rysy, lepsze farby;
Ja ci daję chętnie, szczerze
Grosz ubogi a nie złoto.
Przyjmij zatem to w daninie
Z dobrém sercem i z ochotą,
Tak jak z serca dar ten płynie.

Zawyją wichry — ciemne zajdą chmury
I trwoga przejmie wśród gniewnej natury;
I w sercu burza, — gdy uczuć wszechwładza
Na myśl rozumu całuny sprowadza.

Na tchnienie wiatrów rozbudzone fale
Wzniosą się w górę w niezwalczonym szale;
I w walce duszy krew się w sercu spieni,
A spokój twarzy w piekło się zamieni!

Niebo zajęczy gromami ciężarne,
Piorunem złamie swe powłoki czarne;
Gdy w sercu zabrzmiały wszystkie naraz stróny,
Z namiętych oczu wypadną pioruny.

Lecz przejdą burze z piorunowym trzaskiem,
Niebo zaświeci jasnym słońca blaskiem;
I serce nasze, gdy burzą się zmęczy,
Zaświeci w oczach świetnym wdziękiem tęczy.

*

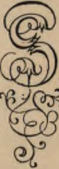
*

*

Może się myłę słuchaj więc łaskawie,
Mój czytelniku, to, co dalej prawie,
Co w kilku kartkach tak słabo spisałem,
A co gdzieś, kiedyś, od kogoś słyszałem. —

Wspólne to dzieje bardzo wielu w świecie,
Bo wielu przeszłość swem brzemieniem gniecie,
Ale nie wszyscy utarczką wytrwałą
Spokój zdobyli — zakończyli z chwałą.



łońce za górą skryło swe promienie,
Znikły chmur zwoje barwione złocisto,
I księżyc wejrzał na niebios sklepienie,
I noc zstąpiła z ciszą uroczystą.

Czarną osłonę obłoki przywdziały
Jakby w żałobie tęskniące za słońcem,
A gwiazd światełka tak na niej błyszcząły
Jak łzy perliste na oku płaczącem.

I cicho, — głucho — jak w zmarłych krainie,
Smętno i ciemno jak w grobowca łonie,
Nawet głos zdala z echem nie przyplynie
Niebo nie świeci, choć gwiazdami płonie.

Gdy wszyscy wkoło już zasnęli mile,
Młodzian walczący z wspomnieniem przeszłości
W sennych objęciach nie spoczął na chwilę,
Lecz badał głębię bezdenną przyszłości.

Długo się w księżyc przypatrywał smętno,
Jak blade światło rozrzucał na chmury,
Jak srebrne koła na powierzchnię mętą
Rzucał jeziora wśród śpiącej natury.

Ucichły wiatry zwykle tak swawolne,
Co liściem suchym na drzewie szeleszczą,
Kłosem nie buja gęste zboże polne,
I śpiewem ptaki uspione nie pieszczą.

Nawet plusk wody umilknął na chwilę,
Nie śmiejąc przerwać tę ciszę uroczą,
On tylko marzył jakby duch w mogile,
I patrzył w miesiąc jak w księgę proroczą.

I różne myśli — wesole, ponure —
Lzą lub uśmiechem twarz mu nastrajały;
Raz lotem orła wznosił się za chmurę,
To znów na ziemię spoglądał zboląły.

Czemu on marzy?... lub dla czego żyje,
Spytajmy raczej! Bo żyć bez marzenia,
To być rośliną, co w korzeniu gnije,
I pączków swoich w bujny kwiat nie zmienia.

Zarodek dumań przeszłość w nas złożyła,
Potrzebę marzeń przyszłość w nas wyradza,
A twórcza ducha niepojęta siła
Bezmierne skarby myśli nagromadza.

Marzemy zatem, co to później będzie,
Jakie koleje czekają nas w świecie,
Czy smutek — radość w sercu nam zasiędzie,
Czy szczęście uśpi — czy bieda przygniecie.

Przeszłość cnotliwa szczęścia rzuca czary,
W chwili zadumy pociechy jest zdrojem,
Złowrogiej doli rozprasza w nas mary,
I twarz rozjaśnia pogodą — spokojem.

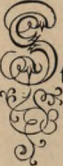
Lecz chwile przeszłe występkiem skażone
Gorzki jad smutku rozlewają w duszy,
Śmiechem szatanów urągają one,
I tego śmiechu serce nie zagłuszy.

Czy on tak duma nad chwilą radości,
Co mu niedawno jak gwiazda jaśniała,
Czy zgasłe szczęście rozważa w cichości,
By lutnia serca weselem zabrzmiała?

Nie! nie o szczęściu minioném on marzy,
Wspomnieniem sobie życia nie osładza,
Bo łza rześista płynie mu po twarzy,
A pierś westchnieniem ciężką boleść zdradza. —

Spojrzał na spokój głęboki wokoło,
I dłużej walki utaić nie zdołał,
Zwiesił ku ziemi zasepione czoło,
Jęknął, pomyślał, z rozpaczą zawołał:



traszna przeszłości! czemu w twój przepaści
Nie zginiesz wiecznie, lecz jak widmo nocy
Uderzasz na mnie w piekielnej napaści,
Z chórem szatanów szydząc z méj niemocy?

Czemu mię niebo tak okrutnie ściga,
I dręczyć srogiéj pamięci dozwala,
Gdy serce na głos przeszłości się wzdryga,
Jakby w pustyni na wycie szakala?

Chcę zapomnienia . . . zapomnieć nie mogę, —
Pragnę zasłonę na dni przeszłe rzucić,
A czas przebytą w przyszłą zmienia drogę,
Życie przedłuża, gdy ja chcę je skrócić!

Zniosę lat wiele ciężkiego cierpienia,
Zniosę boleści krwawiące me ciało,
Ale nie ścierpię przeszłości — wspomnienia
Aby je zwalczyć dziesięć serc za mało!

Ile lat żyję, to cierpię lat tyle,
Walczę od dziecka i zdobywam zbrodnie,
A liczbą zbrodni są minione chwile, —
One nademną panują swobodnie!

Nie znam spokoju ani też wytchnienia;
Bo chociaż cisza wśród jasnej natury,
Jednak mię dręczy straszny głos sumienia,
Czarne przedemną rozwijając chmury.

Każdą znam rozkosz, jaką świat ten ludzi,
Ale spokoju tylko nie poznałem;
Chwilę spoczynku — jedyny skarb ludzi,
Nie wiem, czy znajdę w życiu mojem całym.

Jam był niewinny u piersi méj matki,
Gdy cnoty, zbrodni pojąć nie umiałem,
A gdy dziecięcych dni przeszły ostatki,
Cnotę słabością — zbrodnię męztwem zwałem.

Bóg mię obdarzył swemi dary hojnie,
Uczucie cnoty w sercu mojem zrodził,
A jam w swych błędach biegał tak spokojnie,
I tylko ścieżką nieprawości chodził.

I prawdy moje nie wyrzekły usta,
Lecz zdrady, kłamstwa, złorzeczeń, oszczerstwa,
W każdym mym zmyśle wciąż tchnęła rozpusta,
Pierwszym pacierzem był wyraz bluźnierstwa.

Wszystko kochałem, co tylko nikczemne,
Z dumą chwaliłem, co podłe i brudne,
Wszystko prócz cnoty było mi przyjemne,
A bóstwem zwałem skarby świata złudne.

Tylko poznałem, co to zbrodni droga,
I po niej biegłem wśród grzesznej gonitwy,
Gardziłem prawem i ludzi i Boga,
Wszystkiem się bawiąc, prócz krzyża, — modlitwy.

Z Bogiem walczyłem, i myślałem w duszy,
Żem złością Jego zwyciężył potęgę,
Bo on wciąż czekał czy mię żal poruszy,
A ja plamiłem czynów ludzkich księgę.

Jam tłumił w sobie wszelkie dary łaski,
I tylko lubił dziki świata zamęt,
Bo świętych miałem za fałszywe maski;
Chciałem zapomnieć co to krzyż — Sakrament.

Mocą nieznaną zawsze naprzód pchnięty.
Zatarłem w sercu wszelkie cnót zarodki,
Każdy czyn grzeszny zdawał mi się święty,
Za święte miałem najczarniejsze środki.

Wszystko poznałem prócz uczuć miłości,
Nie wiem, co przez nią rozumieją ludzie,
Lecz kłamię gorszych od siebie z zazdrości,
Szydząc z trwających w świętości ułdzie.

Tylko nie zgrzeszył względem ojca czynem,
I nie prowadził boju zbrodniczego,
Bom się narodził — został jego synem,
Gdy on zasnął snem spokoju wiecznego.

Lecz ja mu spocząć po śmierci nie dałem,
Za życie dane kłamię jego zwłoki,
Ja za grobem w swój złości ścigałem,
Jam go potępiał przez swoje wyroki.

Wolą méj matki pogardzałem dumnie,
Dłoń podnosiłem z wyrazami groźby,
Słowa błagalne lżyłem bezrozumnie,
I odrzucałem rozkazy i prośby.

Przez me występki wydarłem jój życie,
I nie płakałem przy świeżej mogile,
Alem się cieszył w szatańskim zachwycie,
Że bez jój uwag spędzę życia chwile.

I od dnia tego ani jednej chwili
Nie mogłem znaleźć wytchnienia, spokoju,
Lecz wszystko — wszyscy wciąż ze mną walczyli,
A ja, szalony, dumny byłem z boju.

Wesele, uśmiech, kiedybądź spostrzegłem
Na twarzy drugich, za szyderstwo brałem,
Walczyłem wtedy, lecz zemsty się strzegłem,
I krew spienioną w sercu ostudzałem.

A gdy przeciwnie na twarzy widziałem
Jakąś posepność, niepokój lub trwogę,
To znów pogardą sam drugich ściagałem; —
Smutku, uśmiechu odtąd znieść nie mogę!

Wszystko w naturze i we dnie i w nocy
Zda się urągać z mojego cierpienia,
Każdy głos, echo, jak śmierci prorocy,
Wita mię dzikim gromem potępienia.

Słońce, gdy świeci jasno i pogodnie,
Myślę, że blaskiem urąga z ciemności,
Jakie okryły me serce swobodnie;
I znieść nie mogę słonecznych jasności.

Przy cieniach nocy, gdy wokoło czarno,
Widzę otchłanie straszne i bezdenne,
Złowrogie myśli w méj duszy się garną,
I noce spędzam długie a bezsenne.

Spojrzę na kwiaty świetną szatą strojne,
I widzę duszę skalaną zbrodniami,
Równie mię męczą myśli jadem zbrojne,
Gdy widzę skały z cierniem i chwastami.

Jedynie wrogów swych widzę wokoło,
I słyszę tylko szatanów uśmiechy;
Wszystko, gdy cierpię, wdzięczy się wesolo,
Wszystko, gdym wesół, szydzi z méj uciechy.

Straszna przeszłości! zniknij z méj pamięci,
Zagiń na wieki w przepaściach otchłani;
Niech zapomnienie mój spokój uświęci,
Bo tylko przeszłość serce moje rani!

Ciężkom zmęczony ustawicznym bojem!
Walczę ze wszystkim, i walczę sam w sobie,
Śmierć nawet gardzi nędzném życiem mojem,
I kiedyż spocznę z zapomnieniem w grobie?

Ja śmierć przeklinam, — bo słyszę jój śmiechy,
Że mię nie zwolni od mego cierpienia;
W niej ja nie znajdę spoczynku — pociechy,
Ona mi poda wyrok potępienia!

Boże! jeśliś jest w niebie lub na ziemi,
Ratuj, bo zginę przez ostatnią zbrodnię,
Przez samobójstwo, . . . bo z myślami temi
Piekła na ziemi nie ściępię swobodnie . . .

Bluźnić Ci będę do chwili skonania,
Każdym mym czynem walkę ci wypowiem;
Niech zapomnienie przeszłość mą zasłania,
Niech twoją litość przed światem opowiem . . .





a dalsze słowa już sił mu nie stało,
Upadł omdlały na swe nędzne łożo,
A echo w dali jeszcze nie przebrzmiało —
Ciężkie bluźnierstwem zaginać nie może.

Zasnął nieszczęsny, ale snem rozpaczy,
Nie ma spoczynku, ani zapomnienia,
Bo straszne widma co chwila zobaczy,—
Męczą go we śnie przeszłości wspomnienia.

Już niby śpiący; ale czemu jeszcze
Ciągły niepokój w uśpioném już ciele
Wciąż wywołuje konwulsyjne dreszcze?
I czemu usta coś szepeczą tak wiele?

Dla czego we śnie nie spocznie na chwilę,
Lecz boleść zdradza przez ciężkie westchnienia?
Czemu tak walczy w niepojętej sile,
I czemu walka w pokój się nie zmienia?

Bo sen spoczynku występny nie daje,
Gdy w sercu mieszka zawiść i niewiara,
I czarna przeszłość męczyć nie przestaje,
I ściga dalej jak piekielna mara.

On ciężko cierpi, bez granic, niezmiernie,
Bo myśl go dręczy w skłopotanej duszy,
Więcej niż ogień i okrutne ciernie,
Więcej od krwawych cielesnych katuszy.

Wtém widzi w dali przepaści, przestrzenie,
Szczyty ginące pod czarnym obłokiem,
W nich więc zatapia trwożliwe wejrzenie,
Światła, ciemności wkoło ściga wzrokiem.

Ujrzał tam trwożny trzy dziwne postacie
Z szyderym śmiechem na przebiegłej twarzy,
I choć z nich każda w wdzięcznej była szacie,
On jednak zbliżyć ku nim się nie waży.

I przerażenie wstrząsnęło nim silnie
Na widok nowy piekiel tchnący wonią,
Bo chmary duchów obległy go pilnie,
Jakby łańcuchem powiązane dłonią.

Jeden z tych duchów dumny i wyniosły
Idzie ku niemu, i pierwszy przemawia,
A chóry liczne wokoło się wzniosły,
Sławiąc swym dźwiękiem zbrodnie i bezprawia.

SZATAN I.

Witaj bracie! ale czemu
Tyś nie wesół po dawnemu,
Mimo wielkich w życiu zdarzeń,
Mimo szczytnych, lubych marzeń?
Baw się szczerze, żyj wesoło,
I rozjaśnij twoje czoło.
Ja ci będę sprzyjał wiecznie,
W méj przyjaźni żyj bezpiecznie.
Ale bracie, bądź dość mężny,
W głębi serca bądź potężny,

Wzgardzaj dumnie płochą trwogą,
Biegnij śmieie dawną drogą;
Niech wesela twojej duszy
Głos fałszywy nie zagłuszy.

CHÓR.

Wzgardzaj dumnie płochą trwogą,
Biegnij dalej dawną drogą!

To ciemno, jasno — grzmoty, błyskawice
Jeszcze odbiły te słowa ostatnie,
Zadrżały wkoło dzikie okolice,
A w uszach brzmiało pozdrowienie bratnie.

I druga postać świetném berłem zdobna
Szybko nadbiega z koroną na głowie;
Ale wrażeniem do pierwszej podobna
Swoją zachętę w tych słowach wypowie:

SZATAN II.

Witaj bracie! ale czemu
Tyś nie wesół po dawnemu?
Czemu niemoc tak cię męczy?
Czemu serce ciężko jęczy?
Wszak dla ciebie świat jest cały,
Ty w nim panuj dla twój chwały;
Zbieraj skarby i klejnoty
Uwieńcz skronie w wianek złoty.
Świetne berło trzymaj w dłoni,
Berło bogactw, co cię schroni
Od ubóstwa, poniżenia,
Co i smutek w radość zmienia.
Tylko dalej dzieło prowadź,
Dalej skarby ziemi gromadź;
Ja ci moje oddam siły,
Gdyby twoje nie starczyły.

CHÓR.

My ci nasze damy siły,
Gdyby twoje nie starczyły!

I spostrzegł wkoło skarby zgromadzone
W złocie, klejnotach — w berle i w koronie;
Silnie zawrzały żądze niestłumione,
I zaraz chciwie wyciągnął swe dłonie.

Zabłyły skarby przed jego oczami,
To znów przed sobą straszną spostrzegł ciemnię,
I trzecie widmo swém słowem go mami,
W myśli zdradliwie, lecz w uśmiechach przyjemnie:

SZATAN III.

Witaj bracie! ale czemu
Tyś nie wesół po dawnemu?
Wszak na świecie wszystko wkoło
Tak się śmieje, tak wesoło;
Wszak ty jesteś w życia pełni,
Czas nieprędko wiek twój spełni,
Więc wesoło i swobodnie
Żyj jak zechcesz, żyj wygodnie.
Trzeba czasu mile użyć
Aby życiem się nie znużyć;

Trzeba mężnie i wytrwale
Dni swe spędzić w czynów chwale;
A czyn każdy, byle z chęci,
I wysławi i uświęci;
Sław się zatem w każdym czynie,—
Z śmiałych czynów cnota płynie!

CHÓR.

Sław się zatem w każdym czynie,
Z śmiałych czynów sława płynie!
Wzgardzaj dumnie płochą trwogą,
Biegnij śmieie dawną drogą.
My ci nasze damy siły,
Gdyby twoje nie starczyły!

Tu znalazł ulgę dla swojej przeszłości,
Znalazł zachętę na swe przyszłe lata;
Lecz w duszy walka dzikich namiętności,
Piekłem zagrzana silniej nim pomiata.

Znikły trzech duchów postacie przyjaźne,
Rozchodzi się, ginie przestworze ponure,
Już nawet ślady znikły niewyraźne,
Jak mgłą zakryte lub przez gęstą chmurę.

Jak jeleń bez sił, gdy go ściga strzała,
W końcu bieg zwalnia, staje, ledwo dysze;
Jak fala morza, gdy burza ustała,
Zwolna się pieni, i lekko kołysze;

Tak on bezsilny swych cierpień nie czuje,
Wolniej oddycha i leży bezwładnie,
I zamyślenie w twarzy okazuje,
Gdy błogie widmo nim teraz owładnie.

Widzi światełko w maleńkiej iskieerce,
Zwolna cień jasny swój matki spostrzega,
Jak mu wskazuje swe zranione serce,
I jak z miłością ku niemu przybiega.

Pilnie więc patrzy, swym oczom nie wierzy,
Czy ona właśnie, czy tylko złudzenie;
Gdy wtém jéj odgłos znany go uderzy,
I w każdém słowie czuje matki tchnienie.

GŁOS MATKI.

Nie lękaj się, synu! To ja, matka twoja,
Com cię tak pieściła od chwili powicia;
Niech cię nie przestrasza teraz postać moja,
Wszak tyś się nie lękał mnie nigdy za życia.

Patrzysz, czemu serce moje tak zranione,
Patrzysz, czemu boleść taka w mém wejrzeniu,
Dla czego me oko ciężką łzą zroszone,
Dla czego cię witam w śmiertelném odzieniu.

To ty tak zraniłeś własnej matki serce,
Ty łzę wycisnąłeś z powieki zbolałej,
Gdyś moim uściskiem gardził w poniewierce,
Gdy mię zasmucałeś w swej złości zuchwały.

Jam cię pokochała całą mocą duszy,
Nawet teraz miłość goreje w mém łonie,
I śmierć sama więzów miłości nie skruszy,
Dziś nawet wyciągam macierzyńskie dłonie.

Ale tyś zawiścią zimną się odpłacił,
Tyś w latach dziecięcych do mnie śmiał się szczerze,
A później twą miłość na zawsze utracił,
I dziś cię na próżno błagam o pacierze.

Gdy cię dawniej z płaczem cnoty nauczałam,
Gdym ciebie ganiła za tve przewinienia,
Tyś śmiał się wesoło, kiedy ja płakałam,
Alboś dłoń podnosił z głosem oburzenia.

Nad tobą czuwałam we dnie i w nocy,
Ży rzewne roniłam gdyś ty płakał smutnie,
A skorom cierpiała w śmiertelnej niemocy,
Tyś patrzył bez żalu, tak zimno, okrutnie!

Szczęśliw odchodziłeś od mojej mogiły,
Ze nowa swoboda dla ciebie zaświeci,
I łzami tve oczy grobu nie zrosiły,
Tyś matki nie płakał płaczem innych dzieci.

Tyś nawet nie życzył mi szczęścia wiecznego,
W duszy nie wyrzekłeś: niech ci niebo sprzyja!
Od czasu jak cierpię wśród czyśca straszego,
Czyś zmówił Ojcie Nasz, lub Zdrowaś Marya?

Lecz ja ci przebaczam — zupełnie serdecznie,
Zapomnę na wieki twoje przewinienia;
Myśl tylko by Stwórcą przebaczył ci wiecznie,
I abyś uniknął piekła — potępienia.

Żegnam cię już synu! lecz pamiętaj o mnie!
Zacznij życie cnoty, opuść dawne zbrodnie,
Bo gdy ja za ciebie cierpię tak ogromnie,
Czy dłużej w niewierze będziesz trwał swobodnie?

Wyrzekła smętna, i niknie gdzieś w dali
Brźmi wkoło wyraz boleści, cierpienia;
Pod jego żarem i serce ze stali
Pękłoby z żalu, stopniało z wrażenia.

Znikła zupełnie. Ale w oczach jego
Tkwi jeszcze obraz znikłej już postaci,

I słyszy odgłos wyrazu każdego.
On tego nigdy z pamięci nie straci.

Serce zranione i to ręką syna,
Którego tkliwie kochała, gorąco, —
Ach! jakaż walka w uczuciach się wszczyna,
Jakież wrażenia ciszę duszy mącą!

Silnie nim miota widzenia potęga;
Goni za matką, i szuka jój chciwie,
Ręką ku miejscu z niepokojem sięga,
Gdzie ją przed chwilą widział tak prawdziwie.

I w walce uczuć wstrzymać się nie umie,
By nie przywołać jeszcze raz jój cienia;
Myśli czas jakiś w głębokiej zadumie,
W końcu wyjął z wykrzykiem cierpienia:

Matko! gdzież jesteś? i gdzieżeś zniknęła?
Czemuś tak prędko z oczu mi uciekła?
Ja cię chwytalem, tyś mi się wymknęła,
I zostawiła na szyderstwo piekła!

O matko moja! zawitaj mi jeszcze,
Pociesz twém słowem, i dodaj zachęty,
Abym zwyciężył me myśli złowieszcze,
Abym rozpoczął nowy żywot święty

Lecz próżne prośby i próżne pragnienia!
Bo w czarnym, głuchym przed sobą przestworze
Napróżno szuka drogiego jój cienia,
Nawet jój głosu usłyszeć nie może.

I znów bezsilny zajęczał boleśnie;
Widma spokoju jeszcze mu nie dały,
Widział raz drugi swych swych szatanów we śnie,
I słyszał śpiewy jakie nad nim brzęmiały:

CHÓR.

Witaj bracie! ale czemu
Tyś nie wesół po dawnemu?
Baw się szczerze, żyj wesoło,
I rozjaśnij twoje czoło!
Niech wesela twojój duszy
Głos fałszywy nie zagłuszy.

Wszak przed tobą świat jest cały,
Ty w nim panuj dla twój chwały!
Tylko dalej dzieło prowadź,
Dalej skarby świata gromadź.
Wszak ty jesteś w życia pełni,
Czas nie prędko wiek twój spełni;
Lecz by życiem się nie znużyć
Trzeba dni swych mile użyć,
Trzeba mężnie i wytrwale
Dni swe spędzić w czynów chwale.
Sław się zatem w każdym czynie,
Bo wszak z chęci cnota płynie;
Wzgardzaj śmieie płochą trwogą,
Biegnij dalej dawną drogą.
My ci nasze damy siły,
Gdyby twoje nie starczyły!

Znowu w ciemnościach skryli się szatani,
I tylko echo za niemi zagrzmiało,
A choć gdzieś znikło w ponurój otchłani,
Jednak okropném w wspomnieniach zostało.

I znów jaśniejsze zaświeciły blaski —
Myślał, że matkę znajdzie w tój jasności,

Lecz próżno patrzył — nie doznał téj łaski,
Matki nie ujrzał i znikły światłości.

Tylko raz jeszcze słyszał jój wyrazy,
Wspomniał na serce tak srodze zranione; —
Słyszał raz jeszcze prośby i rozkazy,
Wspomniał na lice boleścią ścięzione:

„Żegnam cię już, synu! lecz pamiętaj o mnie!
Zacznij życie nowe, — opuść dawne zbrodnie;
Bo gdy ja za ciebie cierpię tak ogromnie,
Czy dłużej w niewierze będziesz trwał swobodnie?“ . . .

Trwożny, zdumiony wzrokiem goni wkoło,
By ujrzeć matkę naprózno się męczy;
Wtém spostrzegł niebo, jak żywo, wesoło
Jaśniało w górze w świetnych barwach tęczy.

Spogląda w nowe przed sobą krainy
Jakby raj szczęścia tak żywe, wiosenne —
W miejscu, gdzie przedtém przepaści, głębiny
Istniały czarne, ponure, bezdenne.

Cisza urocza mile go przejmuje,
Patrzy z podziwem, co to znowu będzie,
Nowe widzenie już w duszy swój czuje,
Gdy takie blaski zaświeciły wszędzie.

Otwarte chmury spostrzega zdaleka,
I trzech aniołów przecudnej piękności,
I z utęsknieniem na przyjście ich czeka,
Bo po raz pierwszy widzi niebios gości.

Krocie aniołów z weselem na twarzy
Za tymi trzema na skrzydłach nadbiega,
Tego anioła, co przy nim na straży
Od lat dziecięcych, najbliżej spostrzega.

Jeden z aniołów ze znamieniem krzyża,
Jaki mu świeci nad pogodnym czołem,
W swym majestacie ku niemu się zbliża,
I dźwięcznie mówi swém pieniem wesołem.

ANIOŁ WIARY.

Witaj duszo, coś zdeptała
Święte prawa najświętszego
Zbawiciela dusz,
Ciebie niebios czeka chwała,
Jeśli zbrodnie życia twego
Żalem zmyjesz już!

Uznaj wielkość, panowanie
Jedyne go niebios Pana,
Który stworzył świat,
Niech twe serce zmartwychwstanie
Na swobodę z rąk szatana,
Od tak długich lat.

Obudź w sobie dobre chęci,
Bogu w sercu złóż ofiary,
Zacznij z światem bój;
A Bóg łaską cię uświęci,
On ci spuści promień wiary,
Zniszczy smutek twój!

Lecz pokory ci potrzeba,
Uległości Bożej woli,
Bo to źródło cnót,
A w nagrodę szczęściem nieba
Bóg ci cieszyć się dozwoli
Za doczesny trud.

CHÓR.

A Bóg łaską cię uświęci,
On ci spuści promień wiary
Zniszczy smutek twój!

Znikł anioł wiary; ale z krzyża ramion
Trysły promienie jaśniejsze nad słońce;
Jeden z promieni — łaski nieba znamion,
Olśnił swym blaskiem jego oczy drżące.

I poczuł zaraz urok jego mocy:
Runęły w duszy błędne przekonania,
Jak przy jutrzence czarne cienie nocy,
Skoro je słońce swym promieniem zgania.

I drugi anioł zwrócił swoje lice,
Patrząc z spokojem, z wyrazem zachęty,
I ręką wsparty o złotą kotwicę
Zanucił słodko hymn uroczy, święty:

ANIOŁ NADZIEI.

Chcesz spoczynku i wesela
Śród zamętu i wzburzonych
Groźnie życia fal?
We mnie szukaj przyjaciela
W chwilach smutkiem uciśnionych,
I spoglądaj w dal!

Bo nie ziemia jest rozkoszą
Dla wędrowców, co zmierzają
W wyższy ducha świat;
Tam gdzie święci hymn śpiewają,
Twe pragnienia niech się wznoszą
Jak ku słońcu kwiat.

Nie za złotem, nie za sławą
Tęsknij w duszy, ale raczój
Rajskich szukaj stron;
Pogardź światem, jego wrzawą,
A usłyszysz, że inaczej
Zabrźmi serca ton.

Nie wyrzuty, złe wspomnienia,
Nie bluźnierstwa i zwątpienie
Znajdziesz w serca dnie,
Lecz z pociechą głos sumienia
Ci odpowie przez swe tchnienie
Jak w rozkosznym śnie!

CHÓR.

Lecz z pociechą głos sumienia
Ci odpowie przez swe tchnienia
Jak w rozkosznym śnie.

I anioł zwiastun wesela, nadziei
Znikł mu z przed oczu, jak blaski gwiazdziste
Chmurą zakryte przy nocnej zawiei,
I tylko echo brzmiało uroczyste.

A serce jego na głos tej zachęty
Nowém pragnieniem prawdziwie odżyło,
Męstwo i zapal niezwalczony, święty,
Teraz weń wstąpił z nieznaną mu siłą.

Już nie o świecie, lecz dumał o raj, u
Zapomniał troski i gorzyc cierpienia,
Jak nie myślemy przy pogodnym maju,
O wichrach, lodach na zefiru tchnienia.

I anioł trzeci z sercem płomienistém,
Z wdziękiem niebiańskim, z nadziemskim spokojem,
Wita go lutni dźwiękiem uroczystym,
Mile przemawia słodkiém słowem swoim:

ANIÓŁ MIŁOŚCI.

Chcesz spokoju, to w twém łonie
Zagaś ogień złyj zawiści,
Co obudza jęk,
Niech w jój miejsce miłość płonie,
Co cel życia twego ziści,
Zabrźmi w szczęścia dźwięk.

Wszepochężny ciebie stworzył
Dla swój chwały; za swe dziecie
Przyjął cię przez chrzest;
W tobie dary swoje złożył,
I nad wszystko na tym świecie
Tyś Mu droższym jest.

Więc miłością żyć potrzeba,
Trzeba ognia i płomieni,
Co zagrzeją cię,
Nie przygaszaj iskry nieba,
Co twą zawiść w miłość zmieni,
Szczęścia zesze dnie!

Miłość zatém pieść w twem łonie,
Póki biegiesz życia drogą,
Tego żąda Bóg,

A w nagrodę przy twym zgonie
Z moją pieśnią zaśniesz błogo,
Przejdiesz niebios próg!

CHÓR.

A Bóg łaską cię uświęci,
On ci ześle promień wiary,
Zniszczy smutek twój!
Twe pragnienia niech się wznoszą
Tam, gdzie święci hymn śpiewają,
Jak ku słońcu kwiat!
A w nagrodę przy twym zgonie
Z moją pieśnią zaśniesz błogo,
Przejdiesz niebios próg!

Prześpiewał zwiastun miłości swe tony,
I znikł z innemi razem aniołami,
Znikły rozkoszne, idealne strony,
Jasne weselem — rajskimi blaskami.

Ale gdy przeszły ostatnie już dźwięki,
I gdy ostatni skonał jasny promień,
On gonił widma z uczuciem podziękii,
Jeszcze się karmił słodyczą tych wspomnień.

Wtém grube chmury, co się rozpostarły
W miejscu, gdzie przedtem raj się przypominał,
Nagle w dwie strony znowu się rozwarły,
A na ich brzegach most wężki się wspinał.

A pod nim przepaść bezdena i ciemna
Jak noc, gdy księżyc swoją tarczę skryje,
Trwogę siejąca, jak grota podziemna,
Gdzie wąż zjadliwy z szelestem się wije.

Zdumiony patrzy w tę otchłań ponurą,
Na most jak lina wężki, wyprężony,
I widzi piekło, gdzie szatani chmurą,
Toczą się na dnie, jak zastęp ściśniony.

Widzi tam ogień, jak gore płomieniem
W głębi przepaści, i grozi swym żarem,
I wiele głosów usłyszał ze drzeniem
Dziko jęczących pod cierpień ciężarem.

Wtém chmara duchów na niego uderzy,
By go tam wtrącić z wściekłością zażartą,
I strachem zdjęty ku mostu przybieży —
Bo tu miał drogę ucieczki otwartą.

Stanął na brzegu — odwagi nie starczy —
Bo przejście wązkie, a przepaść zatrważa;
Gdy chór szatanów znów strasznie zawarczy,
Wtrąceniem w przepaść piekielną zagraża.

Na straży mostu spostrzega anioła,
Co krzyżem zbrojny wskazuje mu drogę,
Więc szatanami otoczony do koła
Drżącą na moście postawił już nogę,

I stanął. Gdy wtém jakaś obca siła
Nazad nad przepaść przemocą go ściąga;
Znowu odwaga z serca ustąpiła,
A chór złych duchów z śmiechem się urąga.

I znów postąpił — i poznał wyraźnie,
Że na téj drodze nie ma wypocznienia,
Że tylko naprzód iść trzeba odważnie
Pod karą drogi odbytej stracenia.

Więc idzie naprzód — chwieje się z obawy,
Straży anioła wątpiący nie wierzy,
Lecz anioł przy nim stał na stronie prawej,
I dodał męztwa — i śmielój z nim bieży.

Już jest w połowie — i jasno pojmuje,
Ze most tém bardziej ugina się, chwieje,
Im więcej bojaźń w serce mu wstępuje,
Im więcej trwożny utracą nadzieję.

Więc idzie z wiarą w ratunek anioła,
Pełen nadziei w szczęśliwe przebycie
Na brzeg przeciwny, gdzie jutrznia wesoła
Błogie spokoju zwiastowała życie.

I skoro bardziej ku niemu się zbliża,
Więcej ponęty spostrzega w oddali
W jasności, jaka bije z ramion krzyża,
Co stał pośrodku. I cześć mu śpiewali

Liczni mieszkańcy, w szaty jak śnieg białe
Odziani pysznie, z wieńcami na skroni
Z gwiazd plecionými, i palmy wspaniałe
Na znak zwycięstwa trzymający w dłoni.

I mnogie trony, jak brylanty lśniące,
Spostrzega wkoło, a wszystkie zajęte.
Widzi przed niemi jak za chmurą Słońce,
Ku czci którego alleluja święte

Przy dźwiękach lutni uroczyscie brzmiało.
Lecz jedno miejsce pomiędzy tronami,
Równie błyszczące, niezajęte stało.
I wszystko znikło skryte ciemnościami.

Wtém w górę wejrzał, i aniołów grono
Liczne spostrzega, idących w oddali,
I wszyscy z lutnią blaskiem tęcz złożoną
W słodkich akordach niebiańsko śpiewali:

Taka ścieżka przed tron Boga
Nad przepaścią w niebo wiedzie,
Śmiało biegnij nią!
To jedyna życia droga,
Co twych pragnień nie zawiedzie,
Śmiało biegnij nią!

Niechaj wiara nie ustanie,
Niech nadzieja nie ustąpi,
Ani miłość twa,
A na twoje zmartwychwstanie
Bóg ci nieba nie uskąpi,
Gdzie raj wieczny trwa!

I znów zniknęli jak ogień gasnący
Anieli z śpiewką tak błogą, uroczą;
Napróżno goni za nimi marzący
By się napawać ich pieśnią proroczą.

Widzi samotny przepaści wokoło
Zadrżał z obawy i gdy miał strwożony
Już na brzeg drugi postąpić wesoło,
Znikł widok nieba — jego chóry — trony

Tu się przebudził — i powstał zbłąkany
Ze swego łoża jakby z pola boju,
Patrzy zmęczony, zimnym potem zlany,
Że wszystko znikło, że wszystko w spokoju.

Słońce błękitem zaświeciło w górze,
I złotą barwą obłoki pokryło;
Wesoło, jasno w zbudzonej naturze,
I dzienném życiem znów wszystko odżyło.

Radośną nutą powietrza mieszkańcy
Witają ranek nadobny pogodą,
I srebrne zwoje jak blaski kagańcy,
Wietrzyk igrając, rozrzuca nad wodą.

Wybiega zatém ze swego mieszkania,
Aby jutrzeńki napióć się wonią;
I jeszcze rajskie dźwięczą mu śpiewania.
Przypomniał sobie z krzyżem po nad skronią

Anioła wiary i jego wyrazy,
Jakie potęgą zdumiały go swoją;
I drugich także aniołów obrazy
Z sercem, z kotwicą na oczach mu stoją.

Przypomniał sobie z nową w duszy trwogą
Chóry szatanów i ich dziwne pienie,
I znów się w walce namiętności wzmogą,
I znowu czuje niepokój — zwątpienie....

A gdy zabójcze przeszłości wyrzuty
W czarnych wspomnieniach znowu przemówiły,
To samobójstwa podszeptem zatruty,
Śmierci zapragnął — spokoju mogiły.

I piekło całe znów go nawiedziło
Zwodniczym głosem szatańskiej zachęty,
Aby go wesprzeć swojej rady siłą,
By tylko spełnił ten zamysł przeklęty.

Pokusa śmierci już nim o władnęła,
Wskazując w grobie słodycz wypocznienia,
Już myśl zbrodnicza nęcić go zaczęła —
W niej tylko widział kres swego cierpienia.

Lecz życie, chociaż pędzone w goryczy,
Zawsze nadzieją szczęścia nam przyświeca,
Zawsze głos duszy jakiś tajemniczy
Na widok śmierci bojaźn w sercu wzniesca.

Jakaś wszechwładza w stanowczej godzinie
Oręż wytrąci z samobójczej ręki,
I nieraz zbrodniarz, gdy go szła ominie,
Za dalsze życie niebu składa dzięki.

Zamiarem zbrodni dyszący w swój duszy
Pobiegł czemprowadz do lasu blizkiego,
Gdzie szelest liści, gdy je wiatr porusza,
Zdał się potępić ogrom zbrodni jego.

Już stanął śmieie pod wysokim drzewem,
Myśląc, że chwila ostatnia wybiła,
Wtem odszedł w szale — zgromem przekleństw, z gniewem —
Bo moc nieznaną odwagę skruszyła.

„Nie chcę téj śmierci! w rozpaczy zawoła,
„Nie chcę, by ludzie, widząc mię martwego,
Z zimną pogardą mówili dokoła,
Że mniej na ziemi zbrodniarza jednego.

Niech śladu nawet méj śmierci nie będzie!
Zginę jak kamień w falistój głębinie,
Śmierć ma zostanie tajemnicą wszędzie,
A imię moje na wieki zaginie.“

I szybko pola z tą myślą przebiega,
Szukając groźnych znanych sobie toni;
Dzikiém wejrzeniem już wody spostrzega,
I staje zbladły — chwilę śmierci goni

Już jest nad brzegiem już zwiesił się prawie,
Zda się, już leci w przepaści wodniste
Wtém się zatrzymał przy grobowym stawie,
Bo cień mu znany powierzchnie wód czyste

Odbiły jasno — i spostrzega w tyle,
Że matka własną rękę na ramieniu
Jego oparła, i słodko i mile
Ale z wzruszeniem woła po imieniu:

„Stój nieszczęśliwy! co twemi zamiary
Bunt przeciw Bogu podnosisz, szalony!
Ty chcesz zaginać w ciemnościach niewiary,
Gdy czas twój śmierci w niebie policzony.

Czy zapomniałeś twe niedawne słowa,
Coś wyrzekł, gdym cię nawiedziła we śnie?
Czyż dalej dzisiaj jeszcze zbrodnia nowa
Męczyć mię będzie swym jadem boleśnie?

Opuść nieszczęsny samobójcze plany,
I żyj w przyszłości według rad twój matki,
Żalem zmywając żywot twój skalany,
I enocie oddaj krótkich dni ostatki!“

I znikł cień matki. A on tém widzeniem
Dziwnie wstrząśnięty stanął niewzruszony;
Na wód powierzchnię spogląda ze drżeniem,
Czy żyć — czy zginać? pyta się zdumiony.

Cisza wokoło głucha panowała,
Tylko mu serce jakoś głośnieję biło;
Chwila téj walki potem go obląła,
A jasne słońce w oczach mu się ćmiło.

I stoi w myślach swoich zatopiony,
Obraz przeszłości sobie przypomina,
I jakby meztwem znów nowém natchniony,
Tak sam do siebie przemawiać zaczyna:

Czemże jesteś człowiecze na ciernistej ziemi?
Tyś rycerzem, co walczy z wspomnieniami swémi,
I co na tle przeszłości przyszłość sobie ściele,
A choć mało zdobędzie, jednak walczy wiele.
Lecz biada nieszczęśliwym, co jak ja walczyli,
I chwili wypoczynku nawet nie zdobyli!

Jak łódka bez sternika niby się uśmiecha,
Unosząc się po falach, szydzi z gromów echa,
Lecz w końcu wyrzucona na wybrzeżne skały
Zajęknie i zatrzeszczy — i pęknie w kawały;
Tak człowiek wciąż miotany pośród życia burzy,
Gdy stér wiary upuści w nużającą podróż,
I gdy do portu swego szybko, śmieie bieży,
W twarde skały nieszczęścia niebaczny uderzy.

Zaświeci jasny promień na pogodném czole,
Zabawią nas chwilowo światowe swawole,
Uśmiechem wesołości przyozdobim lice,
Jak gwiazdy w czystych oczach zabłysną źrenice;

To znowu chmury smutku zasepią nam czoło,
Zapomnim, że przed chwilą było tak wesoło,
I jak słońce raz błysnie, to znów się zachmurzy,
Tak i serce człowiecze to w ciszy — to w burzy;

Już lat tyle przeżyłem — przecierpiałem tyle!
Życie swoje przepędzić chciałem słodko, mile,
I spijałem bez smaku trujące gorycze,
Myśląc, że skarbem — zbrodnia i fałsze zwodnicze.
I cóż na tém zyskałem, że żyłem niegodnie,
Że w sercu tak namiętnie zgromadzałem zbrodnie?
Święte prawdy rozumu kalałem błędami,
Za bóstwo mając ziemię razem z jój skarbami.
Marzeniem swém goniłem jakieś mary złudne,
Chwytałem w wiecznym smutku przyjemności brudne,
I jedyném pragnieniem mój błędnej nadziei,
Było przeszłość zatopić wśród uciech zawiei.

Jam miłości prawdziwej nie kosztował wcale,
Lecz złością oddychałem w piekielnym zapale;
Wszędziem wrogów swych widział, — bo drzewa i głązy —
I zwierzęta i ludzie — jak piekiel obrazu,
Wszystko mię rozdrażniało; — wszystko przeklinałem,
I we wszystkim przekleństwa jedynie słyszałem.

I dzisiaj jakby obcy, żyję jak wygnany,
Błąkam się po tej ziemi niedolą złamany,
I szukam odpocznienia — lecz znaleźć nie mogę,
Bo dręczą mnie przeszłości wspomnienia złowrogie.

Przepadnijże przeszłości! przeklinam cię wiecznie,
Przepadnij, a bez ciebie będę żył bezpiecznie!
Lecz co mówię? szalony! czy znowu powtórzę
Nowemi przekleństwami ucichłe już burze?
Czy jeszcze mam pomnażać pasmo zbrodni czarnych,
Przez nowe złorzeczenia w tych zakłęciach marnych?
Nie! ja dzisiaj zwycięstwem me życie odrodzę,
Dzisiaj błogim spokojem czoło wypogodzę,
Dzisiaj przeszłość zapomnę — przerwę walkę wściekłą,
Jaką ze mną prowadzi tryumfując piekło! . . .

Wyrzekł te słowa z całą mocą ducha,
Jakąś potęgą oczy mu jaśniały,
I cisza wkoło panowała głucha,
Tylko gdzieś echem słowa jego brzmiały.

I znikł w tej chwili w biegu niewstrzymany.
Gdzie pobiegł? po co? czy w jeziora fali

Skończył dni swoje morderstwem skalany,
By walką życia nie męczyć się dalej?

Czy w głębi lasu zawisnął na drzewie,
By z śmiercią skończyć troski i cierpienia,
A światu głosić przy wiatrów powiewie,
Jak kończy zbrodniarz w wyrzutach sumienia?

Lub czy na długo w obce świata strony
Poszedł okryty w pielgrzymie odzienie,
I w latach późnych wiekiem ubielony
Przyjdzie nauczać młode pokolenie?

.....
.....

Czy wiesz ty, bracie, jak to życie ciężkie,
Gdy smutku brzemie człowieka przyciśnie,
Gdy myśli trapią czarne a zwyciężkie,
Gdy na powiece gorzka łza zawisnie?

Gdy świat z pociechą swoją nie pospieszy,
Lecz zda się szydzić z płaczu i bolesti,
A choćby zechciał, jednak nie pocieszy,
Troski nie ujmie, serca nie popieści.

O ciężko z życiem bojować jest wtedy!
Trudno przyszłością łudzić się swobodną,
Gdy nas ogromem swym przywałał biedy,
I jak cierniami w serce nas ubodną.

Pociechą duszy tylko duch być może,
Lecz Duch odwieczny, który tchnął w nas ducha,
On jeden tylko w cierpieniu pomoże,
Tylko słów Jego myśl nasza usłucha.



kościelnej wieży błogi odgłos dzwonu
Daleko hasło swoje rozpościera,
Ale on teraz nie zwiastuje zgonu,
Nikt razem z echem jego nie umiera.

Te dzwonu drgania równie nie cmentarne,
Bo jakoś smutku w piersi nie podnoszą,
Ale przeciwnie niszczą myśli czarne,
A serce lubą przejmują rozkoszą.

To nie na trwogę uderzono w dzwony,
By gasić straszne ruiną pożary,
Ale spokojne świętych spiżów tony
Zwiastują chwilę bezkrwawej Ofiary.

Na to wezwanie liczne tłumy ludu
Długą kościoła napelniły nawę,
By niebo dało zebrać owoc trudu,
Błogosławieństwo zesłało łaskawe.

W tłumie zebranych u stopni ołtarza
Ktoś w ziemię kornie pochylił swe skronie,
I ciche modły z westchnieniem powtarza —
Drżące ku niebu podnosi swe dłonie.

Przez wszystkie chwile spełnianej ofiary,
Walcząc w swą duszę, modli się i kłębzy;
„Boże!“ zawoła w uniesieniach wiary,
To w pierś się bijąc żałośnie zajęczy.

Już lud powoli opuścił świątynię,
Już puste mury — umilkły organy,
I echem tylko pienie hymnów płynie,
Którými Pana wielbiono nad pany.

Lecz on samotny pozostał w kościele,
Zdaje się martwy — ale duchem żyje,
I jeszcze modłów dalej szepcze wiele,
I łąką obficie próg ołtarza myje.

To on, on! w murach ukrył się świątyni,
A nie zaginał śmiercią z własnej ręki;
On tu pokutę w łzach serdecznych czyni,
Patrząc w obrazy Kalwaryjskiej męki.

Jakoś spokojnie wzrok ku niebu rzuca,
Westchnienia w piersi stłumione ustały,
Lecz jeszcze, widać, przeszłość go zasmuca,
Bo on tak smętny i taki zbolały!

Gdy siłą żalu cały jest wzruszony,
Spostrzega walkę szatana z aniołem,
Słyszy, jak anioł krzyżem uzbrojony
Kończy zwycięzko z obliczem wesołem:

„Odejdź, szatanie! bluźnierco przeklęty!
Jam jest aniołem, który duszę strzeże;
A duszę, którą przeniknął żal święty,
Chrystus z weselem na łono swe bierze.“

„Wszak jam jedynie jest panem zbrodniarzy,
Szatan z szyderstwem odpowiada piekła,
„Tyś stróżem cnoty i świętych ołtarzy,
Nie duszy grzesznej, co do mnie uciekła.“

„Odejdź, szatanie!“ znów anioł zawoła,
„Bo chwila jedna, gdy zapłacze szczerze
Grzeszny syn nieba, uniewinnić zdoła
Życie zbrodniczo spędzone w niewierze!“

„Lecz ja oddawna“ szatan odpowiada,
„Zdobyłem z trudem tę duszę uporną,
I ona teraz natchnieniom mym rada,
Ona mię słucha, i jest mi pokorną.“

„Odejdź, szatanie! ja sztandarem krzyża
Osłaniam duszę w pokucie trwającą,
Ona ku niebu przez krzyż się przybliża,
I wielbi Stwórcę miłością gorącą!“

I szatan krzyża potęgą zrażony
Błuzniąc opuścił ofiarę swój zdrady;
I anioł skruczą duszy ucieszony,
A piekiel w złości wstrząsły się posady.

I zachęcony zwycięstwem anioła,
Który go bronił od pokus szatana,
Jeszcze czas długi śród murów kościoła
Przy trybunale najwyższego Pana

Cós mówił z żalem I powstał z pociechą,
Bo poczuł w sobie, że żyje w miłości;
Już go dni przeszłych nie ścigało echo,
I szczęśliw czekał szczęśliwej przyszłości. —



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-62

K
1173